Nie ma pierwszych lodów do przełamania. Nie istnieją bariery do pokonania. Początki naszej znajomości obchodzą się bez niewygodnej ciszy czy skrępowania. Jest to dla mnie przyjemnym zaskoczeniem, ale następna godzina naszego spotkania ma wyjawić, że cała tego zasługa leży u stóp pani Wandy. Kobieta od pierwszych chwil traktuje mnie niczym dobrą znajomą. Może jest zwyczajnie uprzejma, ale robi to o tyle naturalnie, że zwykle towarzyszące mi w takich chwilach nieśmiałość oraz zakłopotanie znikają bezpowrotnie w otchłani ciepłej, poufałej atmosfery.

Pani Wanda ma piękny głos. Zwróciłam na to uwagę już podczas naszej rozmowy telefonicznej, a teraz, gdy siedzimy wspólnie przy filiżance parującej herbaty, moje zdanie na ten temat jedynie się potwierdza. Melodyjny, dostojny, uspokajający. Zdradza, że lata spędzone na przekazywaniu wiedzy studentom na uniwersytecie nie odbijają się zastojem w samorozwoju wykładowcy, ale wpływają chociażby na umiejętność wypowiadania słów w imponujący sposób. Podziwiam łatwość i płynność, z jaką przychodzi jej kierowanie naszą rozmową, ale tylko przez moment. Gdy zaczyna opowiadać o minionych latach, zapominam o otoczeniu, kładę podbródek na splecionych dłoniach i chłonę wszystko, co jest skłonna mi przekazać.

Mówi, że paczka, którą dostarczyłam, powinna była zostać przekazana komuś, kto potrzebuje jej bardziej, komu w życiu ułożyło się gorzej. Uważa, że projekt fundacji, włączając ją w grono Beneficjentów, mylnie określa ją jako bohatera, ponieważ nie zrobiła nic, czego nie zrobiłby zwykły, dobry obywatel. Czego nie zrobiłby człowiek kierujący się sercem.

*-* Ludzie byli tacy sami, jacy są dzisiaj. Gdyby naszła potrzeba, zareagowaliby w ten sam sposób. To odruch. Widzisz wjeżdżające na ulice miasta czołgi i sprzeciwiasz się temu. To się tobie nie podoba. To nie tak, że ktoś nam mówił, co mamy robić. Wszystko wychodziło od nas…

Każde kolejne wypowiedziane przez panią Wandę zdanie zaczyna działać na moją wyobraźnię. Budzi się ona nagle, zaciera ręce, chichocząc chytrze i przechwytuje kontrolę nad moimi myślami. Szturmem przejmuje centrum dowodzenia. Od gniazdek elektrycznych w neuronach odłącza przewody mojego zmysłu wzroku, a na ich miejsce wciska swoje, przez co zaczynam widzieć to, co ona chce, bym zobaczyła. Otoczenie wokół zaczyna się powoli wykruszać pod naporem jej sugestii. Obrazy, które tworzy przez przyswajanie napływających słów, zakrywają mgłą ściany, podłogę, meble, obrazy, pokoje obok. Znikają nawet wpadające przez drzwi balkonu promienie wiosennego słońca. Zasłonięta zostaje reszta obecnego *teraz,* a nasza dwójkaprzenosi się bezwiednie do przeszłego *wtedy.*

Znalazłyśmy się na jednej z ulic Wrocławia. Była połowa grudnia. Środek wyjątkowo tęgiej zimy. Teraz takich już nie ma. Śnieg górował nad miastem. Znajdował się na jezdniach, dachach, balkonach, parapetach oraz rynnach. Wokół panowały zatrważająca pustka i cisza. Nie wył wiatr, wrony nie krakały, nie słychać było warkotów silników. Otoczenie zamarło w bezruchu. Nawet stojąca obok mnie pani Wanda wbiła spojrzenie w róg ulicy, poszarzała niczym zdjęcie i zastygła z posępnym wyrazem na twarzy. Nie rozumiałam, co się dzieje. Zostałam sama z zaciskającym się w piersi sercem. Szum krwi wybijał w mojej głowie upływający czas, a z każdą sekundą moje obawy wzrastały.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia tuż przed nami przejechał czołg, zostawiając po sobie szary dym jako przestrogę ze strony władz dla obywateli. Za nim pojawiły się kolejne, tworząc kolumnę. Złowrogi turkot rozrywał powietrze. Poprzednia noc nie obwieszczała takiego poranka…

Moja przewodniczka chwyciła mnie za rękę, zwracając moją uwagę. Odwróciła się przez ramię w przeciwnym kierunku. Zrobiłam to samo. W tej samej chwili zostałyśmy otoczone niewielkim tłumem obcych mi ludzi. Opatuleni byli w ciężkie kożuchy oraz puchate czapki, w których kryli się przed mrożącym zimnem. Jedni chowali ręce w kieszeniach przed nieubłaganie trzaskającym mrozem, drudzy pociągali zziębniętymi nosami. Ci okupujący skraj chodnika, skupieni byli w ciasną gromadę. Poruszali ustami, ale ja słyszałam jedynie nic nie znaczące szmery. Z przerażonymi minami patrzyli na demonstrację sił wojska, chociaż wciąż nie do wszystkich docierało, co się dzieje. Nikt nie był pewien, w którą stronę skierują się losy tego kraju i jego mieszkańców.

Zbiorowisko szybko zaczęło się przerzedzać. Ludzie, którzy stali wcześniej na uboczu w małych, trzyosobowych grupach, zawracali i oddalali się, sprzeciwiając się tym samym wprowadzanemu wbrew woli społeczeństwa systemowi reżimu. Kolejni szli za ich przykładem, plując na zapewnienia władz, że stan wojenny jest jedynym sposobem na przywrócenie socjalistycznej Polsce ładu i wyciągnięcie jej z coraz groźniejszych kryzysów. Nie zdołano im wmówić przez zastraszanie i ograniczanie wolności osobistej czy - jak to niezwykle oszczędnie zdołano nazwać – dyscyplinę, że przedstawiona rzeczywistość to działania dla dobra kraju. Próby obarczenia winą „Solidarność” za podjudzenie społeczeństwa do agresji i konfliktów osiągnęły przeciwny od zamierzonego skutek. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Tłum zaczął rosnąć i skierował się w tę samą stronę. Jedna osoba ciągnęła za sobą dwie kolejne. Porwały nas za sobą. Tempo marszu zmieniło się w pęd, a tupot kilkunastu par stóp przeobraził się w echo kilku setek mocno, solidarnie stawianych kroków. Nie wiadomo kiedy cichy szept wzburzenia przerodził się w głośne postulaty zakazanych manifestacji, protestów oraz strajków. Nad głowami powiewały biało-czerwone flagi. Ci, którzy nie brali udziału w pochodzie, stawali na uboczu i unosili w górę dwa palce na znak wolności. Od wszystkich biła moralna, duchowa siła. Ludzie chcieli zwrócić uwagę na swoje problemy. Domagali się uczciwości oraz możliwości poznawania i chwalenia polską kulturą i historią. Byli gotowi walczyć w ich imię z systemem, choć w mniej ryzykancki i wywrotny sposób niż dziesięć lat wcześniej. Wówczas walczyli o miejsca do pracy i cofnięcie podwyżek cen. Ich demonstracje i próby skupienia władz na swych żądaniach zakończyły się jednak zniszczeniami, grabieżami oraz ofiarami w ludziach, a w skutkach przyniosły wyłącznie wprowadzenie stanu wojennego. Dlatego teraz na ulice wyszli ostrożnie i nieagresywnie. Byli wzburzeni w wyniku zatrzymania i internowania działaczy opozycji – ich bliskich, mężów, synów, przyjaciół. Wydarzenie to uświadomiło im dobitnie, że rządząca partia miażdży ich prawo wolności słowa w obawie, że zbyt głośno wygłaszane, odbierze jej wygodne miejsce na szczycie lub zaprowadzi do Moskwy na dywanik. A skoro słowa budziły strach, ludzie właśnie ich zamierzali użyć jako broni.

Nastała niewygodna dla władzy rewolucja społeczna, a wszystkie jej przejawy moja wyobraźnia spaja teraz w jedną, masową całość. Chwyta za pilot do odtwarzacza vhs i przyśpiesza przewijanie taśmy. Wiec zaczął poruszać się jakby ponaglany. Gdzieś w tle niewidzialny zegar wybijał upływające w pośpiechu tygodnie. Nie spostrzegłam, kiedy wraz z panią Wandą znalazłyśmy się poza tłumem, przyglądając się przemarszowi zza firanki wiszącej w oknie kamienicy. Mogłyśmy objąć wzrokiem całą długość ulicy. Na jej środku, na uczestników marszu, ustawiony w rzędzie czekał już oddział milicji z zadaniem rozpędzenia zgromadzenia. Białe pałki odbijały blask słońca skrywającego się nieśmiało nad dachami Wrocławia. Na ich widok część ludzi zapomniała o inicjatywie, dla której dołączyli do akcji i pierzchała nim pogróżka biciem i zatrzymaniem zdołała dobrze zawisnąć nad ich głowami. Pozostali z uporem kroczyli dalej, a ich ciągnące się po betonie cienie były rozmiaru ich marzeń o niezależnej, demokratycznej Polsce. Zaczęli wycofywać się dopiero, gdy użyte zostały petardy i gaz łzawiący, a milicjantów skusiła wizja obicia niepokornych, którzy wciąż mieli nadzieję, że ktoś spróbuje ich wysłuchać. Rozchodzący się dym zasłonił nam widok. Widziałyśmy jednak wyjeżdżający na spotkanie demonstrantów wóz z armatkami wodnymi. Myśl o powrocie do domu – lub co gorsza, czekaniu w areszcie na przesłuchanie - będąc opatulonym w przemoczone do ostatniej nitki ubrania, nie uśmiechała się nikomu o tej porze roku. Dlatego też póki śnieg pokrywał Wrocław, opór jego mieszkańców był słaby. Ich głos został stłumiony. Przenikał skrycie gdzieś między murami, błąkał się pod nogami przechodniów, umykał za plecami milicji i wnikał w papier ulotek oraz bibuł. Wydobywał się jakby z podziemia...

Wraz z nadejściem wiosny, znów odważnie zagrzmiał na ulicach miasta w formie nieposłuszeństwa obywatelskiego. Moja wyobraźnia nie zgłębia jednak tematu dalej. Pani Wanda kończy opowieść o sprzeciwie przeciwko komunizmowi. Żałuję, ponieważ dopiero teraz miałam ujrzeć prawdziwą, wielką siłę ludzi oraz „Solidarności Walczącej”. Zostaję wyrwana z wiru obrazów i powracam na swoje miejsce na krześle w przytulnym mieszkaniu. Jego gospodyni prowadzi naszą rozmową z łatwością na kolejny tor.

- Młodzi nie mają wyobraźni – słyszę i mam nadzieję, że na mojej twarzy nie widać chwilowego oburzenia. – Nie mają wyobraźni, więc się nie boją, mają odwagę walczyć o swoje ambicje. Wtedy nie każdy czuł konsekwencje, które mogły wyniknąć z jego działania. W sercach płonął ogień, a w głowach kotłowały się obawy, że służba bezpieczeństwa podczas rewizji odkryje coś, co nie powinno trafić nigdy w jej ręce. Mimo to trzeba było sprawiać pozory, zachowywać się normalnie i nie wzbudzać podejrzeń.

Przytakuję energicznie, nie chcąc przerywać. Wpatruję się w oczy pani Wandy ze szczególnym skupieniem. Im dłużej to robię, tym gorzej widzę rysy jej twarzy. Ostatecznie jej twarz staje się rozmyta, niewyraźna, jakbym nie była w stanie wyobrazić sobie jej wyglądu trzydzieści lat temu. Kilka kolejnych mrugnięć powiekami i wszystko poza mną zalewają odcienie szarości. Wyobraźnia znów zabawia się w trójwymiarowy seans filmowy.

Zabrzmiał dzwonek drzwi. Pani Wanda uniosła głowę znad gazety i wstała z krzesła. Zanim otworzyła, kazała synowi zostać w pokoju. Próg przekroczyło kilku panów odzianych w mundury. Zaczęli rozglądać się po mieszkaniu i zadawać dociekliwe pytania, których treści ja niestety nie znam. Moja wyobraźnia posiada swoje ograniczenie dopowiedzeń. Czego wcześniej nie ujrzały oczy, czego nie usłyszały uszy, co nie zapadło w podświadomości nie ma prawa pojawić się w obrazach jako klarowna informacja. Dowiaduję się jedynie, że mundurowi dopytywali o pakamerę na niższym piętrze bloku. Pani Wanda przyznała, że takową posiada, a poproszona o zaprowadzenie tam jednego z nich, pobiegła po sąsiadkę, która w tym czasie mogłaby zająć się Sebastianem i resztą niezapowiedzianych gości. Wyszłam wraz z nią.

Winda na złość zwlekała z przyjazdem na piąte piętro. Kobieta zaproponowała, by przejść tę odległość schodami lecz funkcjonariusz odmówił. Gdy pani Wanda dopięła swojego, ujawniła się przyczyna jego nastawienia. Na każdym półpiętrze stali jego koledzy z pracy. Zapewne pilnowali jedynie, by na każdej z paprotek na parapetach osiadła równa warstwa kurzu. Żadnej więcej niż innym.

Doszliśmy na miejsce. Pani Wanda wyciągnęła klucz. Palce drżały jej lekko. Nic poza tym nie zdradzało, w jak wielkim strachu wówczas była. Nie wiem, co znajdowało się za drzwiami, lecz rozumiem, że mężczyzna znaleźć tego nie może. Klamka puściła. Nabrałam powietrza w płuca i stanęłam nieruchomo.

Pomieszczenie wypełnione było różnego rodzaju przedmiotami. To był ten rodzaj czterech ścian, w którego wnętrzu nawarstwiały się zgromadzone przez lata rzeczy. Znajdowało się tu wszystko, co mogło okazać się przydatne w bliżej nie określonej przyszłości, a czego trzymanie pod ręką na co dzień było niepraktyczne. Siedlisko wszelakich kartonów i siatek wydawało się miejscem idealnym do skrywania tajemnic.

- Ach! To tu jest ta żółta siatka! – usłyszałam głos pani Wandy. Zasłoniła usta, wyrażając zaskoczenie i radość jednocześnie. Otworzyłam oczy ze zdumienia. W tej chwili z przyjemnością uścisnęłabym jej rękę, wyrażając swój rosnący z każdym słowem szacunek. Wpadłam w podziw bystrości jej umysłu i szybkości działania. Stojąc na jej miejscu, nie umiałabym stawić czoła sytuacji. Jej się udało! Wmówiła służbiście, że o istnieniu tego pomieszczenia świat dawno zapomniał, dlatego nie ma w nim nic wartego rewizji, a uprzejmy pan próbował teraz sięgnąć ponad rzeczami, aby wytargać starą, żółtą reklamówkę ze skupiska. Pani Wanda nie wiedziała nawet, co w niej było.

- Ma pani więcej podobnych historii? – pytam z entuzjazmem. Chcę usłyszeć w jaki sposób wykupywała się z innych opresji.

- Takich historii było mnóstwo. Teraz już nie każdą pamiętam. Raz panowie przeglądali biblioteczkę. Natrafili na tomik wierszy Jacka Kaczmarskiego, a w niej - oryginalna dedykacja. Powiedzieli, że to niedozwolone. Wiedziałam to. Na szczęście uwierzyli, że to nieprawdziwy podpis. Innym razem położyli przede mną zdjęcia i pytali czy rozpoznaję osoby, które na nich były. Patrzyłam na nie, ale przysięgam, nikogo na nich nie potrafiłam poznać. Jakość tych zdjęć była... Sama nie wiem... W tej sytuacji nie musiałam nawet kłamać.

Kobieta uśmiecha się łagodnie i zaraz zaczyna kolejną anegdotę, a moja wyobraźnia reaguje dużo szybciej i dynamiczniej niż poprzednim razem.

Stałam oparta o ścianę obok windy, spoglądając to na sufit, to na schody po mojej lewej, to na dwie pary drzwi naprzeciwko. Były oddalone od siebie przez niewielki odstęp. Na klatce schodowej panował mrok. Na podłogę padał jedynie prostokątny snop słabego światła. W jego blasku stały dwie sylwetki. Jedna należała do pani Wandy. Druga do jej sąsiadki. Pierwsza z nich trzymała w dłoni torbę, którą po krótkiej rozmowie przekazała w ręce drugiej. W środku znajdowały się pisma drugiego obiegu.

Życzyły sobie dobrej nocy i wróciły do siebie. Noc nie trwała dłużej niż mrugnięcie powieki. Wraz z nadejściem szarego poranka na parterze dał się usłyszeć hałas otwieranych drzwi i ciężkich kroków. Winda ruszyła leniwie w górę. Po chwili obok mnie znów stawiło się dwóch umundurowanych panów. Głowy skrywali pod kapeluszami typu Fedora, a na barkach zarzucone mieli długie płaszcze. Zaczęli dobijać się do mieszkania kobiety, która wczorajszego wieczoru zgodziła się przechować zawartość torby. Gdy zostali wpuszczeni, kolejna mieszkanka tego piętra pojawiła się na klatce schodowej. Wpadła do domu pani Wandy. Dowiaduję się, że w tym czasie wystraszona przekazała jej, co się dzieje. Otrzymawszy wieści, kobieta wyskoczyła na korytarz ubrana jeszcze w koszulę nocną. Zapukała do drzwi obok i znów jej nie było. Skupiłam się na próbie podsłuchania rozmów lecz zanim udało mi się wyłapać słowa, przed panią Wandą kolejny raz otworzyło się wejście. W powstałą między framugą a nią lukę zajrzałam akurat w chwili, w której gospodarze zapraszali niespodziewanych gości na filiżankę herbaty do kuchni. Zagajali rozmowę bez przerwy, chcąc odwrócić ich uwagę. Minęło niewiele czasu zanim pod drzwiami pojawiły się dwie ich córki. Jedna z włosami zaczesanymi w ciasny kucyk, zerkała nerwowo w stronę kuchni, druga - wyglądająca dojrzalej od swej siostry – szybko lecz i z ostrożnością, by nie narobić podejrzanego szmeru, wyciągnęła torbę i wcisnęła je w ręce pani Wandy przez szczelinę.

Zachichotałam pod nosem. Scena z miejsca osoby trzeciej wyglądała niezwykle zabawnie. Teraz pani Wanda na wspomnienie śmieje się wraz ze mną, ale w tamtych chwilach z pewnością nie było jej do śmiechu. Gdyby któryś z funkcjonariuszy zarejestrował matactwo za plecami, zatrzymane zostałyby zapewne obie rodziny. Wiele wówczas ryzykowały w sprawie ogółu, a jednak nie poddawały się, nie udawały, że to ich się nie tyczy. Wciąż działały dla podziemia, małymi krokami wspomagając upadek komunizmu, a relacja między nimi, jaka dzięki temu powstała, potwierdzała słuszność powiedzenia, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

- W tamtych czasach nie mogło być tak, że ktoś w bloku się nie znał. Dziś jest już inaczej. – Wzrok pani Wandy ucieka na bok, gdzieś w dal, jakby teraz ją obrazy w głowie przenosiły do innego świata – Można było odczuć dobroć ludzi. Możesz mi wierzyć. Moja lodówka nigdy nie stała pusta. A to dzięki ludziom właśnie. Pamiętam jak sąsiadka przybiegała do mnie, mówiąc: „Na dole rolnik świniaka ma na wózku. Chcesz pół?” To chciałam. – Wzrusza ramionami. - Tak nie można było robić. Wtedy jedzenie było na kartki, ale… ludzie potrafią radzić sobie na wiele sposobów. Kto tylko mógł, pomagał sąsiadowi. Oczywiście nie każdy. Społeczeństwo było podzielone na tych, co się buntowali przeciwko komunizmowi; tych, co chcieli przetrwać i tych, co chcieli przetrwać za wszelką cenę. Byli ci, którzy donosili, ale zamiast kilku procent z całości mogło ich być znaczna większość, prawda?

W myślach podsumowuję przekaz – by dokonać heroicznych czynów nie potrzeba nadprzyrodzonej siły czy nawet niespotykanego magnetyzmu, dzięki któremu można poprowadzić za sobą tłumy. Wystarczy serce, a w nim miejsce dla drugiego człowieka, trochę wrażliwości i chęć pomocy. Cechy te posypane szczyptą odwagi oraz powściągliwości potrafią z niepozornego człowieka ukształtować kogoś wyjątkowego.

To prawda, co mówiła pani Wanda na początku. Ludzie, którzy walczyli o niepodległość Polski nie są bohaterami. Są o wiele, wiele cenniejsi.

Rozmawiamy jeszcze przez pewien czas. Daję się poznać pani Wandzie, mówiąc o sobie. To zaledwie kilka zdań lecz tyle wystarcza, by dojrzała tę część mojej osobowości, o której istnieniu ja zdałam sobie sprawę dopiero po wielu latach życia w swojej skórze. Znów przekonuję się jak czujny i trzeźwy umysł skrywa.

Mówimy powierzchownie o tym, co otacza nas dziś – polityce, ludziach, planach na przyszłość, życiu we Wrocławiu. Potem się żegnamy, a ja do domu wracam nabuzowana niesamowitymi pokładami energii i chęcią działania. Kilka godzin później znajduję się w pociągu w drodze do rodzinnego domu, gdzie spędzę święta Wielkanocne. Mam dużo czasu na refleksje, więc teraz, gdy entuzjazm opadł, powracam do dzisiejszego spotkania jeszcze raz. Dopiero wówczas w mojej głowie rodzi się nurtująca myśl: Czy temat tego, co dokładnie robiła pani Wanda został pominięty przypadkowo? Wśród historii, które mi opowiadała, przewijały się napomnienia o tym, że jej dom służył jako schronienie czy, że pomagała przy rozprowadzaniu bibuły i ulotek. Jednak nie usłyszałam wprost, co było w pakamerze, a czego nie powinien znaleźć funkcjonariusz ani jak prasa znalazła się w mieszkaniu pani Wandy, w jakich okolicznościach i kto je jej przekazał. Co miała z nimi dalej zrobić? Czy przemilczenie wszystkich tych szczegółów rzeczywiście było kwestią przypadku? Czy gdybym nie zapomniała zapytać wprost, dostałabym wyczerpujące odpowiedzi?

Docieram na miejsce wczesnym rankiem. Słońce wstanie dopiero za godzinę. Miasteczko śpi niezmąconym snem. Sunę uliczkami, które przemierzałam w dzieciństwie. Teraz spoglądam na nie pod innym kątem, choć od tamtego czasu nie zmieniły się ani trochę. Myślę, jak wyglądałyby, gdyby „Solidarność” nie walczyła o odsunięcie komunistów od rządu. Dziś prawdopodobnie tutejsi mieszkańcy spędzaliby noc w mniejszym spokoju.

Mijam kościół. Chociaż z panią Wandą nie rozmawiałyśmy na ten temat, wiem, że katolicyzm był traktowany jako przeszkoda na drodze do całkowitego poddania się wpływom Związku Radzieckiego. Teraz w Wielką Sobotę możemy iść poświęcić koszyki wielkanocne bez obaw, że po uroczystości czekać będzie milicja za rogiem. Nikt nam również nie zabrania kupić jakąkolwiek gazetę czy książkę, które na domiar są ogólnodostępne. Młodzież bez skrępowania afiszuje się ze swym gustem muzycznym, a policja ma prawo zwrócić im uwagę dopiero, gdy naruszają tym ciszę nocną. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, by mogło być inaczej, dlatego jestem wdzięczna wszystkim, którzy za czasów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej przyczynili się do samorządności naszego kraju. Wszystkim, a zwłaszcza ludziom, których nazwisk i czynów nie znajdzie się w żadnej encyklopedii.

Niedocenienie. Przecież tak jak wielki świat opiera się na drobnych atomach, tak Polska zbudowana jest z wszystkich szarych, niepozornych dusz. Dzięki ich sile to, co dziś znamy i kochamy utrzymuje się w porządku. Powinniśmy o tym pamiętać.

„Krainą nieznanych zasług”

„Dialog międzypokoleniowy – zapomniani bohaterowie oczami wolontariuszy”

Justyna Anna Przybylska